

SŁOWO RZECZNIKA

Tadeusz Styczeń SDS: Panie Doktorze! W czasie pielgrzymki Ojca Świętego do Polski w czerwcu 1999 roku postawił Panu ktoś – niczym głos w imieniu „wielu spośród tłumu” – symptomatyczne pytanie. Było ono – w odróżnieniu od wszystkich pozostałych – pytaniem skierowanym wprost do Pana i pytaniem wprost o Pana. Było ono symptomatyczne także z powodu miejsca, w którym padło. Było bowiem ostatnim w szeregu pytań, z których wszystkie poprzednie dotyczyły osoby Ojca Świętego. W pewien sposób zwieńczało ono je wszystkie, uzyskując przez to szczególną wymowę jako klucz do motywu zapytania o Pana samego Pana. Polaków bardzo interesuje – jak z tego widać – osoba Pana jako kogoś, kto z pozycji tak znaczącego w Kościele i w świecie stanowiska odpowiada im na pytania dotyczące Osoby tak niewyraźalnie bliskiej i cenionej w przekroju całej historii ich kraju, jaką jest dla nich Ojciec Święty, Jan Paweł II, pierwszy Papież z rodu Polaków. Cóż? Nie widzimy powodów do ukrywania radości i dumy z tego faktu, dumy, która idzie w parze z potrzebą pokornego wyznania: Czy sobie zasłużyliśmy na tego Papieża? Czy jesteśmy tego Papieża godni? Ale to już odrębna sprawa. Pytanie to brzmiało: „A jak Pan widzi siebie samego w swojej roli Rzecznika tego Papieża?”

Dziękując osobie pytającej, nie znanej mi zresztą, za tamto pytanie jako za niezwykle sympatyczną prowokację pod adresem Pana osoby, dziękuję też Panu za udzieloną jej wtedy – a pośrednio także nam wszystkim – odpowiedź. Była ona, jak zwykle u Pana, zwięzła, lecz zarazem bogata w treść, choć jej bogactwo pozostało jakby ukryte w jej głębi. Brzmiała ona tak oto: „Współmyśleć wraz z Papieżem, współmyśleć wraz z Kościołem jego czasu”.

Bardzo proszę skorygować mnie, jeśli trzeba...

Joaquín Navarro-Valls: (skinienie aprobaty...)

T.S.: Myślę, że zadający to pytanie nie mógł oczekiwać od Pana w tamtych warunkach więcej w charakterze odpowiedzi, aniżeli uzyskał. Wtedy bowiem

„krótkość czasu stanęła na zawadzie...” Spodziewam się teraz uzyskać od Pana nieco więcej, tutaj, czyli w czasie wędrówek wśród uroków alpejskiego krajobrazu. Chociaż i tu pojawiają się – oprócz kaprysów pogody – inne przeszkody. Ośmielam się więc prosić o to teraz właśnie, w tym szalasy alpejskim – i nadal w imieniu tylko Bóg wie ilu ludzi – korzystając ze spotkania w Dolinie Aosty. Odpoczynek Ojca Świętego u stóp Mont Blanc jest, co prawda, dla Rzecznika nadal czasem i miejscem intensywnej pracy. Mogłem jednak Pana częściej tutaj spotykać, wymieniać myśli, a więc i doczekałem się okazji na rozmowę nieco dłuższą, aniżeli byłoby to możliwe gdzieś w Polsce. Chcę poprosić zatem o rozwinięcie tamtego bogatego w treść skrótu. Sądzę bowiem, że ta koincydencja myślenia Pana o sprawach, które nurtują Jana Pawła II, nastąpiła o wiele wcześniej niż zetknięcie się drogi życia Pana z drogą Ojca Świętego. Wiemy już, że u początku Pana drogi życia jako lekarza, doktora nauk medycznych w zakresie psychiatrii, stanął człowiek, odslaniający się w ciszy gabinetu jako człowiek chory. Jan Paweł II natomiast, w programowej encyklice swego pontyfikatu *Redemptor hominis*, określa zadanie dla siebie w znanych nam wszystkim słowach: „Człowiek jest drogą Kościoła” – i staje się od razu Papieżem-Pielgrzymem, obecnym rzeczywiście wśród ludzi całego świata, nazwanym z tego powodu Proboszczem Pięciu Kontynentów. Motywuje to zaś tym, iż człowiek nie może nie być przedmiotem naczelnej troski Głowy Kościoła, skoro troska o człowieka stała się dla samego Boga motywem Wcielenia, czyli „drogi” Boga-Człowieka z Nieba na Ziemię ku człowiekowi jako jego Odkupiciela z grzechu – choroby człowieka najpoważniejszej. Tak oto droga Pana jako sługi człowieka współbiegła w pewnym sensie już wcześniej – pomimo oddalenia w przestrzeni i czasie – z drogą Papieża jako „Sługi sług Bożych”. Jest to więc, mówiąc ogólnie, spotkanie myślenia we wspólnej trosce o tego samego człowieka: on sam staje tu w jej centrum oraz to, jak mu pomóc, pomimo różnicy co do płaszczyzny zatroskania o niego.

Ale jak doszło do styku tych dróg i kroczących nimi w oddaleniu od siebie Pielgrzymów: Papieża oraz jego późniejszego Rzecznika? Jaka jest, pytamy, droga Pana, jej chrono-logia, rozumiana jako logika czasu dojrzewania Pielgrzyma do tego spotkania? Trudno się dziwić tym wszystkim w Polsce, których frapuje skrzyżowanie się z sobą obu tych dróg i ich dalszy bieg. Czyżby „styk” obu tych dróg miałby być tylko sprawą przypadku? A jeśli to „nieprzypadkowy przypadek”, lecz dzieło wyboru, to...?

Sprawa, o którą ośmielamy się pytać, może zahaczać i zapewne zahacza o sam brzeg tajemnicy człowieka.

Może więc należałoby tu, właśnie już tu, w ogóle zamilknąć i oddać głos... milczeniu, skoro chodzi tu o tę „resztę” w człowieku, która jest jego tajemnicą, tajemnicą niepowtarzalnych dziejów jego duszy, a więc obszarem do którego – oprócz Boga – ma tylko każdy z osobna wyłączny i wolny dostęp, mając też absolutne prawo do jego nienaruszalności i poniekąd też... obowiązek jego

strzeżenia. „The rest is silence”. „Reszta jest milczeniem” przypomni nam tu autor *Hamleta*. Czy nie trzeba nam o tym pamiętać?

Jeśliby jednak nie wszystko tutaj musiało pozostać za zasłoną tajemnicy, a mogło służyć wzajemnemu budowaniu i utwierdzeniu się w dokonanym już wspólnie przez nas wyborze Dobra, to czyżby nie wolno było prosić o dar jej częściowego uchylenia? Nie jestem tego nigdy do końca pewien. Pytając jednak nie tylko w swoim imieniu, wolałbym więc, pomimo wszystko, nie wycofywać już swej prośby. Czynię to zresztą w przeświadczeniu, że zakres jej spełnienia będzie i tak zależeć wyłącznie od Pana, a przez nas zostanie on w każdej swej postaci wdzięcznie przyjęty jako Jego dar. Oto jakie myślenie skłoniło mnie, aby zapytać o dzieje Pana drogi do momentu spotkania się obu tych dróg...

J.N.-V.: Pyta mnie Ksiądz, jak to się stało, że lekarz psychiatra stał się rzecznikiem prasowym Stolicy Apostolskiej. Opowiem zatem o mojej drodze zawodowej, a Ksiądz będzie mógł wyciągnąć wnioski...

T.S.: Tak, proszę i dziękuję, za jedno i za drugie.

J.N.-V.: Podjąłem studia z medycyny i myślę, że wybór ten charakteryzowało pewne napięcie, napięcie o charakterze antropologicznym. Wydawało mi się, że medycyna – podobnie jak filozofia, chociaż na innym poziomie – daje nam dostęp do rzeczywistości ludzkiej. Medycyna związana jest z ludzkim cierpieniem, śmiercią, ale również z radością płynącą z wyzdrowienia czy też z narodzin nowego człowieka. Są to doświadczenia, które stawiają – lub przynajmniej mogą stawiać – lekarza wobec pytań przekraczających granice biologii. Jeśli lekarz jest człowiekiem otwartym, to doświadczenia te stawiają go w jakiś sposób wobec pytania o sens – o sens rzeczywistości ludzkiej. Być może dlatego w czasie mego zagłębiania się w medycynę doszedłem do wniosku, że nie istnieją choroby, to znaczy nie istnieją choroby jako abstrakcyjne pojęcia, które można uczynić przedmiotem studiów, lecz istnieją ludzie chorzy, to znaczy, że człowiek stanowi centrum doświadczenia lekarza – tak myślałem od początku moich studiów.

T.S.: Wybiera więc Pan medycynę, sprowokowany do tego „napięciem antropologicznym”. Skąd to napięcie? Stąd, że niesie ono w sobie imperatyw moralny: Centrum doświadczenia lekarza stanowi człowiek! A człowiek to osoba! Nie wolno mi więc wybranej przez siebie profesji sprowadzić wyłącznie do roli eksperta-teoretyka od chorób człowieka, samego zaś chorego wyłącznie do roli środka do sukcesu zawodowego lekarza, czyli zredukować osobę do rzeczy. Oto „stała” projektu drogi życia. Pan upoważnia mnie do „wyciągania wniosków” z tej jego autodeklaracji, jak rozumiem dla siebie i dla Czytelnika, stąd czuję się zobowiązany dobrze ją rozumieć jako wiodącą przesłankę i upewnić się co do tego u samego jej Autora. Tym usprawiedliwiam swe wejście Panu w słowo zaraz na początku i jeśli moje jej rozumienie nie wzbudza Pana zastrzeżeń, proszę o ciąg dalszy opowieści o swej drodze.

J.N.-V.: Po skończeniu studiów ogólnomedycznych wybrałem jako specjalizację psychiatrię. Wydaje się bowiem, że w psychiatrii to napięcie antropologiczne jest najbardziej widoczne, jest po prostu oczywiste. Specjalizacji tej poświęciłem następne lata. Ale z czasem zwróciłem się ku nowemu tematowi, który mnie coraz bardziej interesował. Tematem tym była dialektyka między komunikacją masową i społeczeństwem, a zatem człowiek jako podmiot tego społeczeństwa. Poświęciłem więc znowu wiele czasu na studiowanie tego zagadnienia na innym wydziale. Tym razem był to wydział dziennikarstwa, ponieważ interesowało mnie to, jaki jest wpływ współczesnych środków komunikacji, środków elektronicznych, takich jak telewizja, ale też czasopism, na tworzenie i przekształcanie fundamentalnych postaw osoby. Już bowiem w praktyce psychiatrycznej spotykałem się często z pewnymi postawami ludzkimi, które wydawały się w pewien sposób związane z wpływem środków komunikacji masowej. Między innymi chodzi o związek z modelami ludzkimi proponowanymi przez współczesną reklamę, która jest tak agresywna i której wpływu nie można praktycznie uniknąć, a zatem o związek z tym, w jaki sposób świat przedstawiany jest w mediach: ostatecznie chodzi o dialektykę między komunikacją przemysłową jako procesem przemysłowym – a tworzeniem i modyfikacją fundamentalnych postaw osoby. Nie przerwałem przy tym mojej praktyki medycznej.

T.S.: A gdzie Pan studiował dziennikarstwo?

J.N.-V.: Studiowałem w Pamplonie w Uniwersytecie Nawarry, chociaż mieszkałem w Barcelonie. Kiedy ukończyłem te studia, powiedziałbym, typu antropologicznego, zacząłem studiować tę właśnie relację. Chodziło mi o pytanie, do jakiego stopnia współczesne środki komunikacji wpływają na życie ludzi na poziomie głębszym niż zwykła zachęta do kupienia tego lub innego towaru. Muszę od razu powiedzieć, że spotkała mnie tu niespodzianka, której w jakiś sposób się jednak... spodziewałem. Polegała ona na tym, że po studiach o charakterze empirycznym, głównie socjologicznym, stwierdziłem, że instytucjami, które najbardziej wpływają na fundamentalne postawy osoby, nie są mass media, lecz na pierwszym miejscu jest rodzina. Na drugim miejscu plasuje się Kościół, czy też – jak w społeczeństwie wielowyznaniowym – kościoły, a dopiero na trzecim miejscu znajdują się mass media. Z drugiej strony widzimy, że – również w przemówieniach Ojca Świętego często odnajdujemy tę myśl – dla wielu osób mass media stają się fundamentalnym środkiem tworzenia owych postaw ludzkich. Dlaczego tak się dzieje, jeśli w studium teoretycznym – teoretycznym, a także empirycznym – widzimy, że tak nie jest?

Problem polega na tym, że kiedy, po pierwsze, rodzina traci swe powołanie do formowania dzieci (na przykład cała dialektyka i problem braku postaci ojca w wielu rodzinach, nie dlatego, że ojciec nie istnieje fizycznie, lecz dlatego że brakuje tej relacji ojciec – dziecko o charakterze również formacyjnym), to jest kiedy rodzina traci swe powołanie formacyjne; i kiedy, po drugie, także Kościół

czy kościoły zamiast przekazywać tę prawdę czy prawdy o tym, co wieczne w człowieku, a których poznanie poprzedza Kościół, Kościół historyczny i przekazują przede wszystkim wątpliwości – w przypadku więc, kiedy zawodzą rodziny i Kościół czy kościoły, to na takiej pustyni rolę kierowniczą pełnią mass media i to one tworzą i modyfikują fundamentalne postawy osoby.

Istnieją społeczeństwa czy przestrzenie we współczesnych społeczeństwach, przede wszystkim zachodnich, gdzie mamy do czynienia z kryzysem rodziny, która nie funkcjonuje jako pierwsza instancja formująca postawy ludzkie, oraz z kryzysem Kościoła czy kościołów, które nie przekazują tych prawd, ponieważ stały się same problematyczne, przede wszystkim dlatego, że zamiast zwracać swe spojrzenie ku osobom, zwracają je ku sobie samym, patrząc na siebie w sposób narcystyczny, który okazuje się jałowy z apostołskiego punktu widzenia. W takim przypadku rzeczywiście – to mass media tworzą fundamentalne postawy osób.

T.S.: Wtedy też najbardziej bodaj podatne na ich wpływy stają się zwłaszcza samo przedproże rodziny: małżeństwo. Jego wizja, sugerowana najczęściej przez media już od czasu tak zwanej rewolucji seksualnej w 1968 roku, zakłada programowo inne dla niego cele niż założenie rodziny, tworzenie środowiska rodzinnego. Naporowi propagandy mediów na rzecz tej wizji małżeństwa, która jest źródłem rozkładu rodziny, ulegają obecnie, niestety, nawet niektóre kościoły na Zachodzie. Można tu jednak postawić nieco prowokujące pytanie: czy mass media wywierają coraz większy wpływ na kształtowanie postaw dlatego, że rodzina i kościoły oddziałują na te postawy coraz słabiej, czy też rodzina i kościoły stały się słabe dlatego, że mass media stały się mocne i agresywne, jak Pan wyżej to określił? Czy nie zachodzi tu – bardziej zróżnicowana – relacja, relacja sprzężenia zwrotnego, a potem już obustronnego wpływania na siebie na zasadzie samonakręcającej się spirali? Sprawę tę musimy jednak zostawić na inną okazję.

J.N.-V.: Powracam do mojej drogi zawodowej. W roku 1970 postanowiłem wziąć sabbaticum. Kiedy patrzę dzisiaj, to ten rok był poszukiwaniem syntezy między dwoma specjalizacjami, które posiadałem – ale nadal z myślą o praktykowaniu medycyny.

Wyjechałem z Hiszpanii do Włoch i ku memu zaskoczeniu w latach siedemdziesiątych otrzymałem propozycję zostania korespondentem zagranicznym w rejonie świata, który w tamtych latach był bardzo interesujący: był to śródziemnomorski wschód. Na stałe mieszkałem w Rzymie, ale wiele podróżowałem po tym obszarze – między innymi do Egiptu, Izraela, Libanu, Turcji, Grecji.

Te lata były dla mnie bardzo interesujące, ponieważ zbierając informacje o tej części świata wszedłem w kontakt z wielkimi rzeczywistościami religijnymi, to jest z islamem, judaizmem oraz Kościołem prawosławnym, przede wszystkim w Grecji. Uświadomiłem sobie, że dziennikarz, który ma za zadanie

informować o rzeczywistości kulturalnej, politycznej, artystycznej pewnej części świata, a szczególnie tej części świata, w której pracowałem, nie może jej zrozumieć, jeśli nie będzie próbował zrozumieć kulturalnego i religijnego kontekstu, w jakim się te rzeczy dokonują. Czasami musiałem informować o klęsce żywiołowej. Przypominam sobie wielkie trzęsienie ziemi w Algierii, podczas którego zginęło wiele osób... Informowałem o tym z pewną troską, którą można by nazwać antropologiczną. Dla mnie zawsze człowiek był w centrum tego wszystkiego, o czym informowałem.

Kilka lat później, co było dla mnie pewną niespodzianką, pięciuset dziennikarzy z całego świata zrzeszonych w organizacji Foreign Press Association, którzy mieszkali we Włoszech, ale pracowali dla pism, stacji telewizyjnych i radiowych z całego świata, wybrało mnie na swego prezydenta. Sądzę, że wybór ten był podyktowany nie tyle moimi zasługami, ile był to wybór o charakterze profesjonalnym. Byłem korespondentem dziennika, który w tamtym czasie był największy i najbardziej ceniony w Hiszpanii.

T.S.: Jaki tytuł nosił ten dziennik?

J.N.-V.: „ABC”. Zostałem mianowany prezydentem tego Stowarzyszenia, co oznaczało, że dużo czasu poświęcałem na pomoc moim kolegom w ich problemach zawodowych. Również w następnym roku zostałem wybrany prezydentem. I właśnie w tym okresie przeżyłem zupełnie nowe doświadczenie zawodowe. Przez około dwa lata na polecenie mojej redakcji śledziłem wydarzenia w kraju, który – paradoksalnie – był raczej mało znany w Europie Zachodniej. Ten kraj to Polska. Miałem szczęście towarzyszyć z bliska wydarzeniom obu kolejnych lat: 1980, 1981, a także jeszcze trochę wydarzeniom po wprowadzeniu stanu wojennego... Wcześniej już poznałem ostatni okres Gierka, potem przyszedł Kania, a następnie Jaruzelski i okres stanu wojennego. Było to bardzo interesujące doświadczenie. Przypominam sobie Boże Narodzenie 1980 roku. W sierpniu narodziła się Solidarność... W grudniu byłem tam.

Można by oczywiście wiele tu powiedzieć o moim pobycie w Polsce. Mam wiele wspomnień, pamiętam wszystkie osoby, które wówczas poznałem, zachowuję je w żywej pamięci. Powróćmy jednak teraz do tematu, od którego zaczęliśmy, to jest do mojej drogi zawodowej. To chyba właśnie na początku lat osiemdziesiątych postanowiłem powrócić do medycyny, zawiesić działalność dziennikarską, która trwała już kilka lat i była bardzo intensywna. Zdecydowałem się powrócić do mego kraju i do mojej praktyki medycznej, a nawet przygotować się również do wykładania medycyny. Był to rok 1984. Nadal byłem prezydentem Stowarzyszenia Dziennikarzy Zagranicznych we Włoszech. Obserwowałem oczywiście wybór Jana Pawła II, pierwsze lata pontyfikatu, jego dokumenty, tę atmosferę nowości, którą wniósł do tyłu obszarów życia Kościoła. I nagle spotkała mnie rzecz nieoczekiwana: propozycja, zaproszenie do objęcia stanowiska rzecznika prasowego Stolicy Apostolskiej.

T.S.: Stało się. Factum est.

J.N.-V.: Moją pierwszą reakcją, która pojawiła się przed odczuciem pewnego lęku, było zakłopotanie. Dzisiaj mógłby mnie Ksiądz oczywiście zapytać, dlaczego przyjąłem to zaproszenie. Chciałbym wskazać na trzy sprawy. Po pierwsze, nie przewidywałem takiej możliwości na mojej drodze zawodowej. Mówiąc inaczej, bycie rzecznikiem Stolicy Apostolskiej, w pewien sposób również Jana Pawła II, dyrektorem Biura Prasowego Stolicy Apostolskiej, nie stanowiło części mego osobistego projektu. Ale ta możliwość została włączona w projekt mojego życia. Po drugie, ja sam tego nie chciałem. Była to zbyt radykalna zmiana, nazbyt nieoczekiwana, nazbyt nowa. Po trzecie, oczywiście śledziłem działalność Papieża od momentu jego wyboru w 1978 roku i na zlecenie mojego dziennika towarzyszyłem Papieżowi w kilku wielkich podróżach zagranicznych. Odwiedziłem wówczas różne kontynenty. Ale idea, możliwość zostania rzecznikiem Jana Pawła II – jak powiedziałem wcześniej – była zbyt nowa, zbyt nieoczekiwana. Jednak moja odpowiedź w chwili, gdy otrzymałem tę propozycję, była od razu pozytywna, nawet jeśli nie wiedziałem wówczas, jakie będą warunki wykonywania tej pracy. Miałem zatem jasne poczucie, że wkraczam na teren, którego mapy nie znałem. Stąd pytanie: dlaczego przyjąłem tę propozycję? Dlaczego ją przyjąć? Na to pytanie można by odpowiadać w różny sposób.

Przypominam, że w mojej praktyce medycznej, a następnie w mojej działalności dziennikarskiej, była pewna „stała”, a było nią zainteresowanie człowiekiem. Nie było to zainteresowanie o charakterze wyłącznie akademickim, ciekawość intelektualna czy zainteresowanie teoretyczne, chodziło raczej o to, w jaki sposób można pomóc człowiekowi. Dziennikarstwo dało mi na pewno coś, czego brakowało mi w medycynie, to jest możliwość dotarcia do wielu osób, dotarcia do nich z ideą, którą nosiłem w sobie, opowiadając o tym, co się dzieje na świecie – ideą patrzenia na sprawy z perspektywy prawdy o człowieku, co znaczy w końcu, z perspektywy chrześcijańskiej. To zatem była ta „stała”. I wraz z możliwością zostania rzecznikiem prasowym Stolicy Apostolskiej ta „stała” rozszerzyła się prawie w nieskończoność.

T.S.: Ale nawet fascynacja „prawie nieskończonym” wymiarem tej „stałej” pozostaje w końcu nieodmiennie oczarowaniem tą „stałą”: człowiekiem. Takim on stanął i takim stoi jako podmiot w „centrum doświadczenia lekarza”. I jako taki staje się on w nas wszystkich źródłem owego „napięcia antropologicznego”, co Pan podniósł na samym początku tej rozmowy. Do tej „stałej” dochodzą z czasem jednak odkrycia wciąż nowych jej aspektów i nowych powodów do zdziwienia nią, a także ciągle rosnącej o nią troski. Jest to prawdą do tego stopnia, że ta „stała” rozszerzyła się prawie w nieskończoność. Warto się może przy tym punkcie na moment zatrzymać. Człowiek bowiem, widziany przez nas jakby od dołu, od strony „naszego doświadczenia”, i człowiek jakby współwidziany przez nas wraz z Bogiem, jakby z góry w świetle spojrzenia na nas samego Boga-Stwórcy, a zwłaszcza „z wysokości krzyża Boga-Człowieka”, to

niewątpliwie wciąż jeden i ten sam człowiek. A przecież są to także – i to równocześnie! – dwie radykalnie ze sobą kontrastujące i zarazem nakładające się wizje tej samej „stałej”. Z ich pomocą sam Bóg rozświetla nam do nieskończonych wręcz rozmiarów prawdę nie tylko o naszej godności, lecz także o rozmiarach jej zagrożenia wskutek nadużycia przez nas swej wolności w odniesieniu do rozpoznanej przez nas prawdy o sobie. Jakże bowiem głębiej odsłaniamy się sami sobie, patrząc na siebie z perspektywy Boga, który rzuca nam najpierw do stóp cały przez siebie stworzony świat, a potem sam rzuca się nam do stóp w Wieczerniku, by zmywać z nas niejako rękami swego Jednorodzonego Syna nasze winy, objawiając nam tym tak niezwykłym darem rozmiary naszej godności, ale i rozmiary naszego sprzeniewierzenia się tejże godności, w końcu zaś rozmiary swej niepojętej wobec nas miłości, w sumie – rozmiary naszego wybrania. Aby wszystko to dostrzec, jakby naraz, św. Anzelm z Aosty radzi nam postawić sobie w nierozłączalnym związku z pytaniem: „Kim jestem?”, to drugie pytanie: „Dlaczego Bóg człowiekiem?” Ojciec Święty, zauważmy to tu, ukazuje nam niestrudzenie wymiary tego wybrania, ukazuje nam je niestrudzenie jako Papież-Pielgrzym pierwszym gestem bezsłownego powitania tych, których odwiedza, całując ślady ich stóp na ziemi ich zamieszkania. Pan jest bodaj zawsze tego świadkiem. O tyle też sprawa zidentyfikowania do końca tej „stałej”, którą jest człowiek, sięga ostatecznych racji jego bytowania i pryncypialnych źródeł jego samopoznania: „poznania przez rozum i poznania poprzez wiarę”, jak powie Ojciec Święty w *Fides et ratio*. Res ad principia venit. Sprawa sięga źródeł. Chodzi tu o ostateczną odpowiedź na pytanie: „Kim jestem?” Gdy więc Pan mówi tutaj: chodziło o to, w jaki sposób pomóc człowiekowi, patrząc na jego sprawy w świetle prawdy o nim, co znaczy w końcu z perspektywy chrześcijańskiej, to rozwija i uwydatnia to, co w zasadzie – choć w sposób inicjalny – wyraził Pan już na początku naszej rozmowy, mówiąc o wyborze medycyny jako wyborze umotywowanym przez „antropologiczne napięcie”. Czy nie chodzi tu w końcu o to, by Bóg ukryty dyskretnie w głębi naszego wnętrza jako nasz Stwórca i Odkupiciel znalazł którejs godziny w nas swego odkrywcę i gościnnego „gospodarza” – aż po całkowity dar z siebie? To jest chyba to *unum necessarium* sprawy człowieka. Mówiąc o tym teraz właśnie, przywołuję tylko temat, wokół którego często tutaj krążymy, także przy okazji poszukiwania tu w Dolinie Aosty – wraz z naszym przyjacielem Alberto Carregio – dokładnego miejsca urodzenia autora dzieła pod tytułem: *Cur Deus homo?*

J.N.-V.: Ale jest jeszcze jedna refleksja, którą chciałbym – jeśli Ksiądz pozwoli – przedstawić w celu wyjaśnienia, dlaczego od razu przyjąłem propozycję zostania rzecznikiem prasowym Stolicy Apostolskiej. W jednym ze swoich wierszy nowożytny poeta hiszpański Antonio Machado mówi: „Nikt nie wybiera swojej miłości”. Muszę powiedzieć, że kiedy pierwszy raz czytałem ten wiersz, myślałem, że jest to fraza obliczona na wywołanie efektu, że nie jest

prawdziwa, gdyż miłość jest najwyższym aktem ludzkiej wolności. Później jednak, czytając ponownie ten wiersz i zastanawiając się nad nim, zrozumiałem, że jest bardzo prawdziwy. Nikt nie wybiera swojej miłości. Z antropologicznego punktu widzenia doświadczenie ludzkiej miłości – wówczas gdy się ono pojawia, to jest wówczas, gdy mężczyzna zakochuje się w kobiecie – oznacza poczucie, że nie wybrał on tej osoby, ponieważ bogactwo tej osoby przeżywane jest jako dar, a zatem odnosi go do kogoś innego, Tego, kto mnie nim obdarzył. Z mojej strony jedyną możliwą odpowiedzią na ten dar jest miłość. Podkreślam, mam na myśli miłość ludzką jako włączenie do mojego projektu życia tej osoby, która pojawia się przede mną, która zmienia mój projekt życiowy stając się częścią mojej przyszłości. Stąd poczucie: „nie mogło być inaczej”. Wydaje mi się, że jest to typowe doświadczenie ludzkiej miłości, i myślę, że z analogiczną sytuacją mamy do czynienia w przypadku powołania – czy to powołania religijnego, czy też głębokiego ludzkiego powołania o charakterze zawodowym. Nawet jeśli nie poszukiwałem tej rzeczywistości, która pojawia się przede mną, to w jej obliczu widzę, że całe moje życie było jakby dalekim przygotowaniem na ten moment – na moment, w którym owej nowej możliwości doświadczam jako daru, który jest mi udzielony przez innego.

T.S.: Czy nie jest to właśnie wybranie owego „nie wybranego” wybrania, „nie wybranej Miłości”? On „wybrał nas... przed założeniem świata” (por. Ef 1, 4), On „pierwszy nas umiłował...” (por. 1 J 4, 19).

J.N.-V.: Nie wiem, nie chciałbym przesadzać, ale myślę, że w mojej zgodzie wyrażonej wówczas, w roku 1984, było coś z tego. Oczywiście, podobnie jak to się zdarza w ludzkiej miłości, wiem, że jest tutaj przestrzeń wolności i przestrzeń ta oznacza, że można być wiernym lub niewiernym wobec tej miłości, która pojawia się przed nami. Widzę oczywiście możliwość niewierności, kiedy mamy do czynienia z prawdziwą miłością, ale zdaję sobie sprawę, że jeśli jestem niewierny tej miłości, to w jakiś sposób jestem niewierny samemu sobie.

A zatem wówczas miałem poczucie, że powinienem powiedzieć „tak”. Oznaczało to oczywiście wielką zmianę w moim życiu zawodowym: z dziennikarskiego punktu widzenia była to sytuacja nowa w tym sensie, że od tego momentu musiałem przyjąć, że propozycja ta oznacza zaprzestanie bycia swoim własnym prorokiem, aby stać się prorokiem kogoś innego.

W tym kontekście przychodzi mi na myśl tytuł przepięknego tomu współczesnej lirycznej poezji hiszpańskiej, którego autorem jest Pedro Salinas. Książka ta nosi tytuł: „Głos, którym masz mówić” (*La voce a te dovuta*). Myślę, że od tego momentu głos, którym mówiłem dotychczas, stał się głosem, który jestem winny komuś innemu. Nie są ważne – do pewnego stopnia, przynajmniej w procesie komunikacji – moje idee. Powinienem przekazywać idee kogoś innego.

T.S.: Tyle że „idee kogoś innego”, percypowane przez nas jako prawdziwe własnymi aktami poznania, stają się eo ipso „naszymi własnymi ideami”. Odślaniają się nam one bowiem wówczas wraz z wiążącą nas normatywną mocą

ich prawdy jako prawdy przez nas poznanej i za prawdę uznanej. Nie mogę jej odtąd zaprzeczyć bez zaprzeczenia samemu sobie. Czy nie na tym polega samo sedno owego „napięcia antropologicznego”, o którym Pan mówił w związku z wyborem profesji lekarza? „La voce a te dovuta”. Istotnie. Prawda to „jedyne głos, którym wolno mi mówić”. Dlaczego? Dlatego że wszelki inny głos byłby sprzeniewierzeniem się i p(P)rawdzie, i samemu sobie. Stąd także i ten konkretny głos, który mocą imperatywu moralnego każe oddać wszystko za wszystko, „la voce a me dovuta...”

Pozwolę więc sobie tutaj wyrazić Panu przede wszystkim swą wdzięczność za tę – i taką – Jego odpowiedź na to „nie wybrane wybranie”. Widzę w niej zarazem mobilizującą nas odpowiedź-dar na naszą do Niego prośbę. Chciałbym Mu jednak także jako wyraz wdzięczności z naszej strony zadedykować słowa polskiego poety pochodzące z utworu zatytułowanego *Narodziny wyznawców*: „Jeśli jednak prawda jest we mnie, musi wybuchnąć. Nie mogę jej odepchnąć, bo bym odepchnął sam siebie”. Poetą tym jest Karol Wojtyła.

Nie wiem, czy można głębiej i zwięźlej, piękniej i bardziej dyskretnie zarazem, wskazać powód i charakter spotkania się z sobą obu Pielgrzymów na ich drogach życia oddanego bez reszty człowiekowi i Bogu-Człowiekowi, Wcielonej Prawdzie, anizeli sięgając do języka wymienionych mistrzów słowa z Hiszpanii i z Polski.

Ale na przedłużeniu tego momentu naszej rozmowy trudno tu nie wskazać na misyjny wymiar tego rodzaju odkrycia prawdy, na jej charakter apostołski. Skoro bowiem uczestniczy w niej każdy z ludzi – niejako już mocą swej własnej bytowej istoty, czyli na mocy tego, że istniejąc z daru Boga, istnieje właśnie jako człowiek – lecz nie każdy z ludzi o tym wie, czyli nie zna skarbu, który w sobie nosi, często nie z własnej winy, to trzeba mu pomóc w odkryciu samego siebie, w samoprzebudzeniu. Stąd Pawłowe: „Biada mi!” Oto też dlaczego Jan Paweł II powie: „prawda we mnie musi wybuchnąć” – to imperatyw moralny. Odkrycie jej jest przywilejem, na którym ciąży hipoteka zobowiązania wobec wszystkich innych. To wcale nie przypadek, że Karol Wojtyła tak ściśle powiązał ze sobą odkrycie prawdy o sobie z obowiązkiem misji wobec drugich: „musi wybuchnąć”, ze sprawą moralnej odpowiedzialności za jej spełnienie w samym sobie w pierwszym rzędzie: „bo bym odepchnął sam siebie”. Tytuł zaś, jaki nadał swemu tekstowi: *Narodziny wyznawców*, świadczy o tym, że chodzi tu o vademecum misjonarza-apostoła.

J.N.-V.: Dlatego też jednym z tematów tego pontyfikatu jest ożywienie w duszy chrześcijanina wymiaru apostołskiego. Fałszywa interpretacja słowa „tolerancja” usiłuje bowiem osłabić apostołską siłę wiary chrześcijańskiej, odwagę dawania świadectwa prawdzie. W tej sytuacji chodzi o ożywienie wśród nas, katolików, tej głębokiej, duchowej, ostatecznie teologalnej, ale również ludzkiej, empirycznej radości przekazywania wiary, jej przepowiadania. W czasie tego pontyfikatu nauczyłem się, że można przekazywać wiarę również tym,

którzy ją posiadają, lecz u których straciła ona żywotność, nie jest wiarą, która jest przekazywana, czy też, jak nieraz mówi Papież, nie jest wiarą, która staje się kulturą. Wiara nie staje się kulturą, jeśli nie przekształca się w służbę tworzenia środowiska kulturalnego, społecznego, w którym inni mogliby odnaleźć ciepło wiary w Chrystusa. Każda epoka historyczna ma swoje pokusy, swoje zagrożenia. Wydaje mi się, że w epoce, którą nazywamy moderną (nie wiedząc, kiedy się zaczęła i czy już się skończyła), jedną z pokus jest fałszywa interpretacja pojęcia „tolerancja”, która sprawia, że chrześcijanin staje się bogatym, pozostając bogatym tylko dla siebie, w swojej świadomości; wiara nie jest tu przekazywana, nie jest apostolska. To wyjaśnia częściowo, dlaczego Papież podróżuje po świecie.

T.S.: Wpełza dziś w świadomość wielu fałszywe pojęcie tolerancji... Jest ono dla wielu wygodne. Ty masz swoją wiarę, ja mam swoją. Zostańmy każdy przy swojej, w imię zachowania pokoju między ludźmi. Nie musimy się wtedy przekonywać o prawdzie naszych wiar. Po co nam ta zwada? Prawda dzieli ludzi... Czy nie zredukowano tu jednak nazbyt pochopnie pokoju – który jest pokojem głębi człowieka, pokojem jego sumienia, który wypływa z świadomości zakotwiczenia podmiotu poznania w transcendentnej wobec niego prawdzie o człowieku – do „świętego spokoju”?

J.N.-V.: Właśnie...

T.S.: Pierwszą ofiarą tej redukcji staje się sumienie człowieka, ostatecznie zaś sam jego podmiot, człowiek. Z lektora prawdy o sobie staje się on jej kreatorem. Człowiek osiąga tu z pozoru szczyt możliwej dla siebie autonomii. Nie rządzi się odtąd odkrytą przez siebie prawdą o sobie, ale określonym twórczo przez siebie projektem samego siebie (*schöpferische Vernunft*). „Błędne sumienie staje się nieporozumieniem” („*Irriges Gewissen ist ein Unding*”). Znika z jego pola widzenia pojęcie sądu sumienia (*Gewissensurteil*) na rzecz decyzji sumienia (*Gewissensentscheidung*). Każdy ma odtąd „swoją prawdę”. W rzeczywistości jednak odgradza się od wszelkiej jedynie godnej tej nazwy. Dialog – jako wspólne poszukiwanie obiektywnej prawdy – staje się odtąd niemożliwy. Jest on bowiem możliwy tylko wtedy, gdy respektujemy płynącą z realistycznej wizji rzeczywistości i jej poznania konsekwencję, że w przypadku dwu sądów sprzecznych o rzeczywistości, której aspekt został przez obu uczestników sporu na jej temat ściśle zdeterminowany, tylko jeden może być prawdziwy. Ktoś z nas jest w błędzie i każdy z nas jest równocześnie przeświadczony, że w nim nie jest. Dla wykluczenia tego przykrego dla każdej osoby stanu rzeczy należy na równi – z szacunku zarówno dla prawdy, jak i z szacunku dla osoby drugiego i dla osoby własnej – podjąć dialog. Jeśli jestem przeświadczony, że mój bliźni tkwi w błędzie, powinienem mu pomóc w uwolnieniu się od błędu, ukazując mu – z całym dla niego respektem, dla jego wierności prawdzie, tak jak ją odczytał swym sumieniem – możliwie najczytelniej do końca racje, dla których uważam jego pogląd za błędny. Należy dać

także – właśnie na mocy faktu przystąpienia do dialogu – drugiemu do końca szansę przekonania mnie, w oparciu o zaprezentowane przez niego racje, czy sam nie jestem w błędzie. „Prawda krytyk się nie boi”. Ci zaś, którzy podejmują ze sobą dialog w spornej dla siebie sprawie wyłącznie z motywu poznania i afirmowania prawdy, świadczą już mocą samego aktu jego podjęcia, iż chodzi im nie tyle o zwycięstwo w sporze, ile o to, by zwyciężyła w nich zawsze i tylko prawda. Oni jedynie wtedy zwyciężają, gdy pozwalają się zwyciężyć prawdzie. Oto dlaczego Papież nie widzi najmniejszego – już z tej tylko racji – powodu do lęku, by rozmawiać ze wszystkimi. Poza tym Papież – w oparciu o racje rozumu – wie, dlaczego i komu uwierzył, uwierzywszy Chrystusowi jako Wcielonej Prawdzie. Wie zatem także, iż idąc wiernie i do końca za wezwaniem Chrystusa do wszystkich narodów w całym świecie jako Nauczyciel Chrystusowej Ewangelii, ukazuje przez to każdemu z osobna człowiekowi jego samego do końca w niczym nie uszczuplonym „blasku prawdy”. Gotów jest w każdej chwili i wszędzie do podjęcia dialogu na ten jeden jedyny właściwie temat całego pontyfikatu, jakim jest człowiek widziany przez pryzmat wydarzenia Boga-Człowieka. On wie, co mówi drugiemu, gdy mówi mu, że człowieka nie można zrozumieć do końca bez Chrystusa.

J.N.-V.: Tak jest...

T.S.: Immanentystycznie wystarczy w zasadzie postawić w czasie rozmowy jedno pytanie: „Czy w tej chwili rozmawiamy ze sobą, czy nie; czy to prawda, czy nie; jest tak, czy nie jest tak?” Gdy zaś to potwierdzi, dodając (może), iż jest to niewątpliwie prawda, tyle że jest ona na wskroś banalna, by się nią zajmować, wówczas zaproponujmy mu, aby faktowi tej rozmowy zaprzeczył, chcąc go z jakichś powodów przed innymi ukryć. Czy nie stwierdzi wówczas natychmiast, iż mając z prawdą do czynienia, ma eo ipso sam z sobą do czynienia jako jej świadkiem i powiernikiem, więcej, powiernikiem samego siebie jako świadka prawdy o sobie, a to wyznacza już podstawy antropologii i etyki jako antropologii normatywnej. Muszę szanować prawdę, by móc szanować siebie – i muszę szanować siebie, by móc szanować każdego drugiego i wiedzieć, w jaki sposób jedynie można i da się de facto to robić. Sam ten przykład unaocznia już dość wyraźnie, że dyskusję na temat immanentystycznej koncepcji tolerancji trzeba rozpocząć od dyskusji na temat warunków możliwości i sensowności prowadzenia jakiegokolwiek rozmowy jako rozmowy pomiędzy istotami rozumnymi. Tolerancja ma dwa nierozłącznie ze sobą związane bieguny. Moja powinność respektowania drugiego jako podmiotu zobowiązanego do respektowania prawdy, tak jak on ją widzi, postuluje, bym nie zwalniał siebie, z troski o niego w przypadku stwierdzenia, że nie widzi on jej tak, jak ona się ma w rzeczywistości.

J.N.-V.: Prawda, która w przypadku wiary chrześcijańskiej jest przekazywalna. Posługując się językiem fizyki możemy powiedzieć, że w ramach tej prawdy obecny jest „wektor komunikacji”. Wiemy, że istnieją religie, które

nie są apostołskie – apostołskie w sensie komunikacji. Na przykład judaizm. Judaizm nie poszukuje dzisiaj prozelitów. Wydaje mi się, że jest tak również w przypadku hinduizmu. Islam natomiast jest apostołski. Ale w przypadku chrześcijaństwa... chrześcijaństwa w tej małej części świata, to znaczy w Europie Zachodniej i w Ameryce – nie w Afryce, w Afryce chrześcijaństwo jest apostołskie, podobnie jak w Indiach i na Filipinach – należy szanować inne religie, wyłączając jakby „wektor komunikacji” w stronę pozostałych religii.

T.S.: To jest nowe, ważne zagadnienie. Podjął je w sposób istotny Hans Urs von Balthasar w rozprawie o znaczącym tytule *Cordula oder Ernstfall*. Wychodzi on od postawienia diagnozy, iż teologia Zachodu, a może i sam Kościół na tym obszarze, tracąc pod wpływem immanentystycznej filozofii realistyczny zmysł prawdy na rzecz autentyczności, podejmuje absurdalną w swych konsekwencjach akcję misyjną, akcję samolikwidacji Kościoła. Gdy teolog, apostoł tak właśnie immanentystycznie pojętej akcji misyjnej, stwierdza z nie ukrywanym entuzjazmem autentyzm motywów akcji komisarza sowieckiego skierowanej na likwidację Kościoła: „Pan kieruje się autentyczną intencją, jest więc po naszej stronie, jest Pan «anonimowym chrześcijaninem»”, słyszy w odpowiedzi: „Wypraszam sobie bezczelność, smarkaczu. Nie jesteś wart nawet kuli. Zlikwidowaliście się sami i zaoszczędziliście nam tego, byśmy musieli was prześladować”.

Autentyzm intencji, czyli jej dobroć, jest oczywiście warunkiem koniecznym, lecz zgoła nie wystarczającym. Dobra intencja jest bowiem wtedy dopiero dobrą intencją, gdy staje się intencją ukierunkowaną na obiektywne dobro ze strony podmiotu działania, a więc intencją przekraczania siebie w stronę prawdy o obiektywnym dobru człowieka. Stąd klasyczna zasada: zawsze być posłusznym sumieniu i nigdy nie przestać go kontrolować. *Don't Trust your Conscience* – to mądry tytuł książki współczesnego Amerykanina. Stąd też nieodzowne „tak” dla zasady pluralizmu poglądów w społeczeństwie musi być koniecznie dopełnione przez „tak” dla zasady dialogu z troski o obiektywną prawdę. Co z kolei jest możliwe i rzetelne tylko w oparciu o realistyczne ujęcie aktu poznania, wykluczającego możliwość redukcji poznania (*cognosco*) do samego myślenia (*cogito*). Albowiem prawda poznania (*veritas ut correspondentia*) pozwala się nam ująć tylko przekraczając niejako samą aktowość aktu poznania w stronę obiektywnej prawdy rzeczywistości (*veritas ut manifestatio rei*) i tak tylko się nam ona jawi i daje jako podmiotom poznania i zarazem nam zadaje jako podmiotom wolnego wyboru. Oto dlaczego akt poznania jest miejscem i momentem – *topos et chronos* – ujawniania się nam w nas, i zarazem rodzenia dla nas przez nas samych własnym aktem asercji, metafizyki wraz z etyką jako antropologią normatywną, a wszystko to dokonuje się niejako naraz w horyzoncie realistycznej teorii poznania. W tym także sensie wszystkie te dyscypliny są konstytuowane niejako jednym i tym samym aktem – *uno actu constituuntur*. Oto też dlaczego prawda obowiązuje nas, co pragnę podkreślić, zawsze wtedy i tylko wtedy, gdy jest nam ona zapośredniczona poprzez nasz

własny sąd sumienia. Z tego jednak wcale nie wynika, iż nas ona obowiązuje, co znów pragnę podkreślić, dlatego że nam ją zapośrednicza zawsze i tylko nasz sąd sumienia, lecz – znów podkreślam – dlatego że sąd ten jest – co najmniej domniemanie, jak w przypadku pomyłki – prawdziwy, czyli dlatego że – innymi słowy – przekazuje nam adekwatnie transcendentną wobec poznania i jego podmiotu prawdę. Oto dlaczego redukcja prawdy aktu poznania do aktu jej twórczego myślenia jest z tej perspektywy patrząc błędem w rozpoznaniu samego sedna sprawy, o którą w tym przypadku chodzi, błędem *ignoratio elenchi*. Logiczną konsekwencją tego macierzystego błędu jest kolejny błąd. Jest nim konieczność uznania w immanentystycznej wizji człowieka dwu sprzecznych ze sobą sądów w dziedzinie moralności za równouprawnione, ze wszystkimi tego konsekwencjami. Najgroźniejszą z tych konsekwencji wskazał Doktor Subtilis, Duns Szkot w prawie logicznym: *Ex contradicto quodlibet*. Oznacza to zepchnięcie całej dziedziny moralności w obszar niczym nie kontrolowalnej konfuzji i relatywizmu, uniemożliwiających jakiegokolwiek porozumiewanie się między sobą ludzi w istotnych sprawach moralnych jako istot obdarzonych rozumem, czyli na bazie rzetelnego dialogu. Dlatego św. Tomasz przestrzega: „*Facilius venitur ad veritatem ex errore quam ex confusione*”. Przestroga ta okazuje się dziś bodaj bardziej aktualna niż kiedykolwiek przedtem, skoro twierdzi się, że prawda ludzi dzieli, że burzy pokój, że należy ją więc usunąć z dyskursu w sprawach moralności, a zwłaszcza polityki.

J.N.-V.: Postawa ta jest istotnie dramatyczna. Przede wszystkim dramatyczna na poziomie osoby, ale dramatyczna również na poziomie społeczeństwa. Dlaczego? Ponieważ spotykają się tu klasyczny liberalizm i totalitaryzmy typu marksistowskiego. W jakim sensie? Mówiąc: można mieć wiarę, ale przynależy ona do sfery prywatnej; budowanie świata nie jest zadaniem Księdza jako chrześcijanina. I tu pojawia się druga apostolska „stała” podróży Papieża. „Stala” wiary, która staje się kulturą; wiary, która służy jako inspiracja w tworzeniu porządku prawnego i społecznego.

T.S.: „Stala” kultury. Tak, bo kultura jest ostatecznie *cultus*, czyli aktem oddawania Bogu czci we wszystkim, cokolwiek człowiek na tym świecie czyni. Religia nie może być traktowana jako jakiś odrębny sektor obok innych sektorów, ale jako najgłębszy wymiar wszystkich sektorów. „Cokolwiek [...] czynicie, wszystko na chwałę Bożą czyńcie!” (1 Kor 10, 31).

J.N.-V.: Piękną rzeczą w tych podróżach apostolskich jest pozorny paradoks, że to właśnie one otworzyły dialog z innymi religiami. W czasie wszystkich pielgrzymek Papieża ma bowiem miejsce spotkanie z przedstawicielami religii danego kraju: między innymi z przedstawicielami buddyzmu, islamu, judaizmu. Jest to pozorny paradoks, ale jest to roszczenie prawdy. To chyba Maritain powiedział, iż w pełni mogę respektować osobę wówczas, gdy jestem przekonany o mojej prawdzie i o tym, co różni mnie od tej osoby. Wówczas mogę ją respektować taką, jaka ona jest.

T.S.: A jak to wygląda w dialogu w sensie ewangelicznym, z kolegami po profesji, przecież zawiązują się przyjaźnie?

J.N.-V.: Oczywiście, jest to bardzo ważna dziedzina. Tutaj, w tym wymiarze apostolatu – działalności ewangelicznej wśród kolegów, muszę być bardzo dyskretny, ale mogę Księdzu powiedzieć, że jedną z najbardziej radosnych chwil w czasie tych szesnastu lat był moment, gdy kolega Amerykanin, jeden z najwybitniejszych współczesnych dziennikarzy, poprosił mnie: „Joaquín, chciałbym, abyś był moim świadkiem podczas ceremonii wstąpienia do Kościoła katolickiego”. Był baptystą. Przez wiele lat przebywał na Bliskim Wschodzie, ożenił się z kobietą pochodzenia arabskiego, ale wyznania chrześcijańskiego, baptystycznego. Pracowaliśmy razem przez wiele lat, na przykład byliśmy razem w Egipcie, w Kairze, kiedy został zamordowany Sadat, dawno temu. Podobnie jak ja został później przeniesiony do Rzymu. Śledził podróże Ojca Świętego dla swego czasopisma, które jest jednym z najbardziej znanych w Stanach Zjednoczonych. Nieraz rozmawialiśmy, często nasza rozmowa dotyczyła tematów zawodowych. Widziałem, że jego idee chrześcijańskie są bardzo bliskie katolickim, z wyjątkiem dziedziny sakramentów, aż do momentu, kiedy moim obowiązkiem – nie tylko wobec Boga, ale i wobec naszej przyjaźni – było zadanie mu pytania: „Kiedy nastąpi Twoje nawrócenie? Na katolicyzm?”

T.S.: Odważnie...

J.N.-V.: Ale było to normalne...

T.S.: ...i pięknie...

J.N.-V.: ...ponieważ była to prawdziwa przyjaźń. Nie mogłem zdradzić naszej przyjaźni nie stawiając mu tego pytania. Natychmiast mi odpowiedział: „Joaquín, to jest «undeclared war», wojna z sobą samym, której jeszcze nie wypowiedziałem”. I dodał: „Chciałbym, aby to było nawrócenie razem z moją żoną”. Powiedziałem: dobrze. Zaczął czytać książkę poświęconą doktrynie katolickiej, czytając podkreślał różne kwestie. Zazwyczaj w niedzielę po południu odwiedzałem ich, rozmawialiśmy. Zapytałem jego żony: „Czy ty również czytasz ten opasły tom?” Odpowiedziała mi: „Nie, czytam tylko to, co podkreśla mój mąż”.

Był on już tak blisko, że proces trwał tylko kilka miesięcy, po czym w Rzymie w czasie ceremonii, w której uczestniczyło owo małżeństwo, ja oraz biskup sprawujący Mszę świętą, odbyło się jego przyjęcie do Kościoła katolickiego – bez chrztu, gdyż jako protestant był już ochrzczony. Nie mówię tego, by podkreślić moje zasługi, ale jako świadek niezwykłego działania łaski Bożej.

T.S.: Pytanie to zadałem z racji tego, co napisał Arystoteles. Przyjaciele – obaj tego samego chcą, obaj tego samego nie chcą... ale zdradziłbym przyjaciela, gdybym zdradził prawdę. *Amicus Plato sed magis amica veritas.*

J.N.-V.: Właśnie.

T.S.: Powiniennem zatem czynić wszystko, aby otworzyć drogę prawdzie, tak aby naprawdę jej szukał.

J.N.-V.: I tak właśnie się stało. Teraz są szczęśliwi, oboje są katolikami. Mieli okazję uczestniczyć we Mszy świętej z Papieżem, oboje byli bardzo szczęśliwi.

T.S.: Powiedział Pan, że dziennikarz jest nie tyle zafascynowany Papieżem, ile zainteresowany tym, co on mówi.

J.N.-V.: Oczywiście.

T.S.: A później... jako konsekwencja – czy mógłby Pan to zinterpretować?

J.N.-V.: Pierwszorzędnym zadaniem dziennikarza jest przekazywanie faktów, informacji o wydarzeniach, które miały miejsce. Zatem w swojej pracy może – jeśli tego chce – otworzyć się na tę rzeczywistość, którą przekazuje.

T.S.: Ma Pan na myśli ludzki aspekt wszystkiego, co przekazuje, w sensie prawdziwego dobra dla człowieka, człowieka jako osoby wśród osób?

J.N.-V.: Tak dokładnie jest. Ale widzę, że moment, w którym dziennikarz otwiera swe serce, jest już aktem jego osobistej ascezy i prawdopodobnie aktem, który wymaga Bożej łaski. To możliwe. Jest to łaska udzielona przez Boga człowiekowi, który uczciwie traktuje swoją pracę.

T.S.: I wierność swemu zawodowi w sensie mistrzostwa, które Pan tak podkreśla – profesjonalizmu. Ten profesjonalizm jest czymś obiektywnym, wymaga opanowania sztuki, *métier*, ale ma wektor osobowy, ku osobie-przedmiotowi, czyli ku wszystkim ludziom, gdziekolwiek są, ale i ku osobie-podmiotowi, ku swej subiektywności. Zawsze te dwa wektory: człowiek człowiekowi człowiekiem.

J.N.-V.: Często się zdarza, że dziennikarz co trzy lub cztery lata przenosi się do innego kraju, dlatego raz musi pisać o wojnie, innym razem o trzęsieniu ziemi, jeszcze innym razem o sporcie lub o Papieżu. Pojawia się wówczas rodzaj wygodnego sceptycyzmu, brak otwartości na to, o czym opowiada. Można powiedzieć: jest to ryzyko zawodowe. W medycynie istnieją inne rodzaje ryzyka.

T.S.: Pluralizmu w sensie relatywistycznym...

J.N.-V.: W tym przypadku tak nie było. Temu człowiekowi potrzeba było tylko kogoś, kto powiedziałby: nadszedł już właściwy moment. Mogę też opowiedzieć o innym koledze, katoliku w tym sensie, że był ochrzczony, ale nie był praktykujący. Nie był on wrogi w stosunku do Kościoła, ale tylko daleki. Ów niepraktykujący katolik miał pewien problem, problem ludzki, nie zawodowy. Żył w małżeństwie od piętnastu lat, ale z racji medycznych nie mieli z żoną dzieci. Zawsze gdy jego żona była w ciąży, po miesiącu lub półtora miesiąca następowało spontaniczne poronienie. Był tym bardzo zmartwiony. Ponieważ byliśmy w przyjaźni, opowiedział mi o tym. Powiedział: mam problem, nie jestem szczęśliwy, chciałbym mieć dzieci. Najpierw zapytałem go: czy byliście u lekarza? Tak – odpowiedział – odwiedziliśmy już wszystkich możliwych lekarzy. A zatem – powiedziałem – pozostaje tylko jedna rzecz. Jaka? – zapytał. Wspólna modlitwa. Był nieco zaskoczony, ale poszliśmy na wspólną modlitwę w pewnym miejscu w Rzymie. Tak się złożyło, że po trzech miesiącach jego żona była w ciąży, a dzisiaj mają córeczkę.

T.S.: Tak się złożyło...

J.N.-V.: Tak. Nie chcę mówić o cudzie; mówię po prostu o tym, że byłem świadkiem tego zdarzenia.

T.S.: Mógłby wprowadzić ktoś zapytać, czy nie postawiono tu zbyt pochopnie znaku równości między post hoc i propter hoc, pomiędzy następstwem dwu zdarzeń i ich zależnością przyczynową. Skoro jednak w oparciu o dostateczne racje przyjmujemy, że wszystkim w końcu kieruje Boża Opatrzność, byłoby błędem nie dać żadnych szans wierze w cud, w cud uzdrowienia, przeciwnie...

J.N.-V.: Pewnego poranka opowiadałem Papieżowi...

T.S.: ...o tym przypadku?

J.N.-V.: Nie, mówiłem ogólnie, że zawsze, gdy dziennikarz w swoim życiu osobistym wzrasta moralnie, lepiej rozumie Papieża i lepiej pisze o Papieżu.

T.S.: Chodzi o rodzaj dostrojenia częstotliwości pomiędzy stacją nadawczą a odbiornikiem, jak w radiu.

J.N.-V.: Zawsze istnieje taka możliwość. Ale na jakiej podstawie powiększa się ta możliwość apostołowania? Oczywiście, zawsze jest łaska Boża. Ale powiększa się ona na bazie profesjonalizmu. Niektórzy starają się pracować solidnie i to sprzyja: faire le métier. Chciałbym być dobrze zrozumiany: nie jest to zatem apostołat „klerykalny”, ale apostołat świecki powstający na bazie zawodowej.

T.S.: Czy mógłby to Pan zilustrować jakimś jeszcze przykładem?

J.N.-V.: Opowiem Księdzu o innym zdarzeniu. Pewnego wieczoru towarzyszyłem znanemu dziennikarzowi włoskiemu, człowiekowi o wielkim umyśle. Ma on dzisiaj dziewięćdziesiąt lat. Jest wielkim dziennikarzem, wciąż pisze. Jak mówi o sobie, nie jest człowiekiem wierzącym i być może tak jest. Na pewno nie jest człowiekiem praktykującym. Towarzyszyłem mu podczas kolacji z Ojcem Świętym. Było to wspaniałe przeżycie dla tego człowieka, który szanuje Papieża z punktu widzenia człowieka niewierzącego. Rozmawialiśmy o działalności Papieża, o wszystkim. Wiedziałem, że matka tego dziennikarza zmarła przed dwoma miesiącami: miał on już wówczas osiemdziesiąt lat. Kiedy wychodziliśmy, zatrzymałem się i powiedziałem Papieżowi: „Ojciec Święty, jestem pewien, że nasz gość chciałby o coś poprosić”. „O co?” Dziennikarz słuchał. Powiedziałem: „Bardzo kochał swoją matkę. Jestem pewien, że chciałby się za nią pomodlić w kaplicy Waszej Świątobliwości”. Dziennikarz był bliski płaczu. Ojciec Święty powiedział: „Oczywiście, natychmiast”. Poszli razem do kaplicy, razem uklękli i Ojciec Święty odmówił *Pater noster*.

T.S.: Pan wie, że prezydent Pertini, otrzymawszy od Ojca Świętego gratulacje z okazji noworocznego orędzia do narodu, zareagował spontanicznie: „Ten dar mogła mi wyprosić u Boga tylko moja zmarła matka! Dziękuję za ten dar”. A utrzymuje się opinia, że Pertini był ateistą.

J.N.-V.: Ów dziennikarz wciąż żyje i nie wiadomo, gdzie zaprowadzi go tamto *Ojciec nasz* odmówione wspólnie z Papieżem.

T.S.: Niech nam wystarczy, że Bóg to wie...

J.N.-V.: Jest to dla mnie oczywiste, ale niektóre z tych wspomnień zapisuję. Biorąc pod uwagę mój wiek, myślę, że mogę jeszcze przeżyć kanonizację Jana Pawła II. Oczywiście...

T.S.: Oczywiście... tak. „The rest is silence”. Słabość cielesna tego Papieża pokazuje i podkreśla moc ducha i determinację...

J.N.-V.: W sposób spektakularny przeżyliśmy to w roku 1996 we Francji w czasie pielgrzymki, podczas której Papież odwiedził grób założycieli dynastii Karolingów. Radykalna prasa krytykowała Papieża, który chciał przez to powiedzieć, że korzenie Francji są katolickie, podczas gdy według nich korzenie Francji tkwią w liberalizmie i rewolucji. Tak więc część prasy była przeciw Papieżowi. Podczas pielgrzymki ludzie, którzy spotykali się z Papieżem i widzieli jego twarz w telewizji, zmienili się, również czasopisma musiały zmienić swoje nastawienie, aby iść za ludźmi, by nie było tak, że są one po jednej stronie, a telewizja i ludzie po drugiej.

T.S.: Chciałbym zapytać, w którym roku był Pan nominowany?

J.N.-V.: W 1984.

T.S.: To oznacza, że służy już Pan Papieżowi...

J.N.-V.: ...od szesnastu lat.

T.S.: Szesnaście lat temu także spotkaliśmy się w Dolomitach. Czyli zaraz potem. Mówił Pan wtedy, że immanentyzm już wyczerpał swoje możliwości. Było to bodaj pierwsze zdanie, jakie usłyszałem z ust Pana podczas naszej pierwszej rozmowy „na nasze tematy”. Możemy oczywiście w różny sposób definiować immanentyzm, ale można dość ogólnie, czy też w przybliżeniu powiedzieć, że ostatecznie chodzi w nim o to, iż podmiot (s)twórczo myśli sam siebie, czy też projektuje sam siebie mocą swej twórczej bądź nawet stwórczej świadomości, a nie odnajduje sam siebie mocą swego samo-poznania jako kogoś, kto jest sobie w swej istocie realnie dany i zarazem zadany wraz z darem osobowego istnienia... Niektórzy mówią nawet, że pontyfikat można podzielić na dwie części w zależności od podjętej przez Papieża Wojtyłę próby przełamania immanentyzmu, który zostaje nazwany błędem antropologicznym... Może zechciałby Pan scharakteryzować ten okres.

J.N.-V.: Oczywiście można tak analizować dotychczasowy pontyfikat. Ale powiedziałbym, że to myślenie w kategoriach okresów jest w pewnym sensie potrzebą dydaktyczną, potrzebą ludzkiego umysłu. Kiedy jednak czytamy *Redemptor hominis*, widzimy, a posteriori, że wszystko było już tam. Był już jubileusz roku 2000. Był prymat osoby, było przewyciężenie brutalnej formy totalitaryzmu w Europie Środkowo-Wschodniej. Naturalnie, w roku 1979 trudno było widzieć to wszystko. Można to zobaczyć a posteriori. My, w celu dydaktycznym, mówimy o etapach, ale Jan Paweł II był cały we wszystkich etapach, to tylko opinia publiczna koncentrowała się na określonych tematach. W roku 1979, podczas pielgrzymki do Polski, Papież mówił o tym, że próba wymazania

Chrystusa ze świadomości człowieka jest przestępstwem przeciwko człowiekowi, nie przeciw Bogu; w tym samym roku w Stanach Zjednoczonych mówił innym językiem o totalitarnej pokusie na poziomie antropologicznym – totalitarnej, gdyż jest to pokusa totalnego relatywizmu. A zatem etapy to dydaktyczny sposób analizowania pontyfikatu, ale w pewien sposób są one obecne jednocześnie.

T.S.: Ta dydaktyka ma swój sens, może służyć konkretnym ludziom. Myślę o pytaniu: Czy to Papież doprowadził do tego upadku, do „przewyciężenia brutalnej formy totalitaryzmu”? On sam powiedział: Nie, załamało się to pod ciężarem immanentnego błędu, błędu antropologicznego. Była to tylko bardziej brutalna jego forma, inna jest bardziej ukryta. Na przykład Karl Popper napisał po przełomie czerwcowym, że w Polsce w dniu 4 czerwca 1989 roku „nie Papież wygrał, ale Mercedes”.

J.N.-V.: Zaprzeczyłbym tej interpretacji Poppera na dwóch płaszczyznach: na płaszczyźnie faktów historycznych i na płaszczyźnie dynamiki idei. Sama gospodarka nie byłaby w stanie obalić systemu, który nie był przede wszystkim systemem opresji gospodarczej, ale systemem ucisku człowieka, jednostki. Potrzeba było zatem czegoś silniejszego niż gospodarka, aby obalić ten system. Potrzeba było idei, idei dotyczących człowieka, idei antropologicznych. Rok 1980, Boże Narodzenie roku 1980 przeżyłem w Polsce. Rozmawiałem ze związkowcami. Te osoby nie poszukiwały wówczas systemu ekonomicznego. Poszukiwały samych siebie. Poszukiwały własnej godności, co wówczas nie miało nic wspólnego z ekonomią. Nie był to bieg ku dobrobytowi, lecz bieg ku samym sobie. „2 + 2 musi być zawsze cztery” – pamięta Ksiądz?

T.S.: Oczywiście pamiętam. Powiedzieli oni jednak: chleba, prawdy, wolności. Wszystko to jednym tchem. Prawda koniunkcji stoi prawdą każdego ze swych składników. Może jednak ich kolejność ma tu też coś do powiedzenia? Myślę o tym nieustannie. Ojciec Święty już w czasie pierwszej pielgrzymki do Polski w roku 1979 podkreślał, że nie samym chlebem żyje człowiek, akcentując zarazem, że Autor tych słów, Jezus Chrystus, każe co dnia prosić Ojca naszego o chleb, a nawet cudownie go rozmnaża, gdy widzi głodnych i mimo to zasłuchanych w Jego słowo, w słowo prawdy o człowieku, której poznanie i wolny wybór stanowi klucz do wyzwolenia.

J.N.-V.: Właśnie, nie był to zatem tylko Mercedes. Nie, ludzie poszukiwali samych siebie, obrazu, który składał się z wielu elementów. Przypomina Ksiądz sobie, że od lat sześćdziesiątych istniał „dogmat” Breżniewa o ograniczonej suwerenności. Ludzie, których spotykałem: Michnik, Wałęsa, Mazowiecki, buntowali się przeciw temu. Nie chodziło wówczas wyłącznie o zmianę ekonomiczną. Chodziło o szacunek dla samych siebie.

T.S.: Tak. Była to zasadnicza zmiana postawy moralno-politycznej, ta wiara Polaków w moc odważnego opowiedzenia się po stronie prawdy i prowadzenia otwartej walki z totalitarną przemocą wyłącznie mocą prawdy, aktami różnego rodzaju publicznego protestu. Dla kontrastu wystarczy przypomnieć ową Kon-

stytucję, w którą ówczesny Sejm, wybrany jednak głosami Polaków, usiłował wprowadzać zapisy w rodzaju wieczystej przyjaźni Polski ze Związkiem Radzieckim. Słusznie przypominał nam to i wypominał ktoś tak nam życzliwy, jak Norman Davies, w nawiązaniu do sławetnej „polskiej rzodkiewki”, którą chępliśmy się w drodze do urn wyborczych. Oto co różniło Polskę czasu owego Sejmu, który przeszedł do historii pod nazwą drugiego „Sejmu niemego”, w stosunku do tego, co dokonało się w nas potem. Rzeczywiście. Czas „Solidarności” nazwano słusznie „solidarnościowym zrywem sumień”. Ów „solidarnościowy” plakat sprzed 4 czerwca 1989 roku z napisem: „Żeby Polska była Polską, 2 + 2 musi być zawsze cztery!”, był wyrazem potrzeby oczyszczającej kąpieli Polaków w wyzwalającej mocy prawdy. Stąd byliśmy wówczas tak przykro zdziwieni tym, co Karl Popper napisał w dzienniku „Die Welt”, i to krótko potem, jak Ojciec Święty dziękował Bogu na Mont Blanc, na symbolicznym szczycie Europy, za przełom w ludzkich sumieniach, przełom, który bez użycia przemocy zachwiał totalitarną przemocą i zapoczątkował jej upadek w wielu krajach Europy.

J.N.-V.: Właśnie. Jak powiedziałem, to dotyczy idei, ale również na płaszczyźnie historycznej dotyczy to nie tylko gospodarki. Przytoczę jeden przykład. To nie było tak, że Papież, aby wyzwolić Polskę, zwrócił się do prezydenta Reagana; było odwrotnie, to Reagan zwracał się do Papieża. Reagan wiedział bowiem, że poprzez samą gospodarkę nie zmieni systemu. Potrzebował innej rzeczy, tego, co mógł dać tylko Papież.

T.S.: Tak, o to wsparcie zwracają się nieustannie do Ojca Świętego, jako niekwestionowanego dziś autorytetu moralnego świata, liczni przywódcy z różnych jego zakątków. Przychodzą, bo czują w nim wypróbowanego eksperta od sprawy człowieka w człowieku. Wracając jednak na nasze polskie pole, na pole „Bożego igrzyska”, trzeba nam sobie przypomnieć słowa ostrzeżenia Simone Weil: „Prawda ucieka z obozu zwycięzców”. Trzeba nam o nich pamiętać, i dla nas tu w Polsce, i dla drugich w Europie i gdzie indziej, tym bardziej że my w oparciu o własne doświadczenie pięćdziesięciu lat zmagania z totalitarną przemocą poznaliśmy – *sit venia verbo* – „na własnej skórze” sedno wolności wraz z ceną, którą trzeba umieć zawsze, czyli bezkompromisowo, za nią płacić. Wiemy, że ucieczka od prawdy jest ucieczką od wolności, jest ucieczką wprost w pułapkę samozakłamania i samozniewolenia, najgorszej z możliwych postaci niewoli. Diagnozy „heglowskie ukąszenie”, „zniewolony umysł” czy „hańba domowa” – to dla nas gorzkie symbole i ważne ostrzeżenie. Najwymowniej zaś świadczy o tym wspomniany już wyżej plakat „Solidarności”, związany z datą 4 czerwca 1989 roku. „Żeby Polska była Polską...” Nie wolno nam dziś, nazajutrz po zwycięstwie, powtarzać wczorajszego błędu, tyle że w sposób zakamuflowany, bo z powołaniem się na zasadę większości głosów. Solidarność jest sobą, jeśli nikogo z ludzi nie wyklucza z grona ludzi. Jej sprawdzianem i miarą jest stosunek do człowieka najslabszego. Wykluczenie go z grona ludzi – i to z powołaniem się na ustawę – to jej klęska. Ojciec Święty nazwał to „za-

kamuflowanym totalitaryzmem”. Nadszedł więc dla nas dziś czas nowej wielkiej próby w zmaganiu o wolność, o polski kształt wolności na teraz. Papież przypomina nam Polakom zasadę solidarności z areny ONZ, spod Bramy Brandenburskiej, a ostatnio uczynił to w orędziu wygłoszonym 11 czerwca 1999 roku w Parlamencie Polskiej Rzeczypospolitej, w imię czego walczyliśmy. W walce tej mamy do odnotowania znaczące porażki, ale także znaczące zwycięstwa. Zapisujemy sobie głęboko w sercu imiona tych, którzy rzucili nowe ziarno w glebę „Bożego igrzyska”. Nie taję, że mówię o tym z głębokim wzruszeniem, ale przede wszystkim z głęboką nadzieją i wiarą w mych Rodaków. Poza tym ten Dar, który Boża Opatrzność dała światu i Polsce, jest w tym kraju zobowiązaniem szczególnym, *la voce a noi dovuta*. Czy wolno nam nie wybrać niespodzianki takiego wybrania?

Pan zna nasz kraj w przekroju ostatnich dwudziestu lat: dziesięć lat przed tą datą i dziesięć lat po tej dacie – najpierw jako wysłannik dziennika „ABC”, a potem jako rzecznik Papieża. Ośmielam się zadać Panu na koniec pytanie, które jest prośbą: Czy nie zechciałby Pan nam powiedzieć w paru słowach, co o nas myśli i co by nam dziś radził, i o co też dla nas zapewne się modli?

J.N.-V.: Zanim przybyłem do Polski w roku 1980, zapoznałem się z jej historią, a także – przynajmniej w jakiejś mierze – z jej kulturą, przede wszystkim muzyczną i literacką. Polska była dla mnie zrazu wielką zagadką, czymś jednak kochanym pomimo swej tajemniczości. Wiedziałem, czym jest Polska, lecz nie umiałem sobie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego Polska jest tym, czym jest.

Poznając Polaków z różnych rejonów ich kraju odkryłem – ku mojemu zdumieniu – pewne ich podobieństwo z moimi hiszpańskimi rodakami: zarówno Hiszpanie, jak i Polacy mają poczucie tragiczności swego losu. Przeżywają swoje życie jako dramat, w przeciwieństwie do Anglosasów, którzy je przeżywają jako „praxis”, lub Francuzów, którzy patrzą na nie z pozycji „ratio”. Dzięki tej postawie Polacy zdolni są do heroizmu, chociaż nie musi to być od razu heroizm typu militarnego. Czyni ich to jednak łatwo podatnymi na cierpienie: na cierpienie z powodu własnego losu, z powodu nie zrealizowanych marzeń, i wreszcie podatnymi na cierpienie z powodu czegoś co nierealne, co jednak okazuje się niekiedy realne...

Jeżeli zaś idzie o modlitwę, to nie umiałbym prosić dla was o cokolwiek innego jak tylko o dobro, którym jest urzeczywistnienie prawdy o was samych. I byłaby to prośba, którą zresztą już złożyłem za was – u stóp Królowej Polski. I jeśli Polacy pozostaną „maryjni”, to ich poczucie tragiczności swego losu znajdzie dla siebie zapewne – jak było zawsze w waszych dziejach – proste rozwiązanie, z daru Łaskawej Madonny.

Les Combes, 18 VII 1999 r.

Tłum. z jęz. włoskiego *Jarosław Merecki SDS*